

Nieśmiała i z pozoru całkiem przeciętna Clara ma nadzwyczajny kontakt z przyrodą i słyszy myśli zwierząt. Kiedy ujawnia się jej wyjątkowy dar, dziewczyna trafia pod opiekę ciotki Isy, zaklinaczki, która uczy ją ufać własnym instynktom. Clara przechodzi zwycięsko próbę ognia i zostaje zaakceptowana przez inne zaklinaczki. Dziewczyna może liczyć także na Kota i wieloletniego przyjaciela Oskara, który wkrótce się przekona, że przyjaźń z zaklinaczką bywa śmiertelnie niebezpieczna.

Drugi tom przygód niezwyklej nastolatki, która walczy z kompleksami i brakiem pewności siebie, ale gdy okoliczności zmuszają ją do opuszczenia wygodnych ram dotychczasowego życia, odkrywa świat pełen czarów, w którym czyhają również wielkie niebezpieczeństwa.

„Prawdziwa dziewczynska siła! Ta książka rzuca urok”.
BERLINGSKE TIDENDE

„Zaklinaczka to fantasy najwyższych lotów!”.
JYLLANDS-POSTEN

„Królowa duńskiej powieści fantasy w drugim tomie serii *Zaklinaczka* znacząco podkreśla napięcie. To przyjemny dreszczyk. Najlepiej czytać na wygodnej kanapie i z podkulonymi nogami — nawet jeśli czasem serce podskakuje do gardła”.
BERLINGSKE

 BookMlody

www.mlodybook.com.pl

PATRONAT

 **granice.pl**
wszystko o literaturze

MBP Cieszanów
Krew Werdiany /



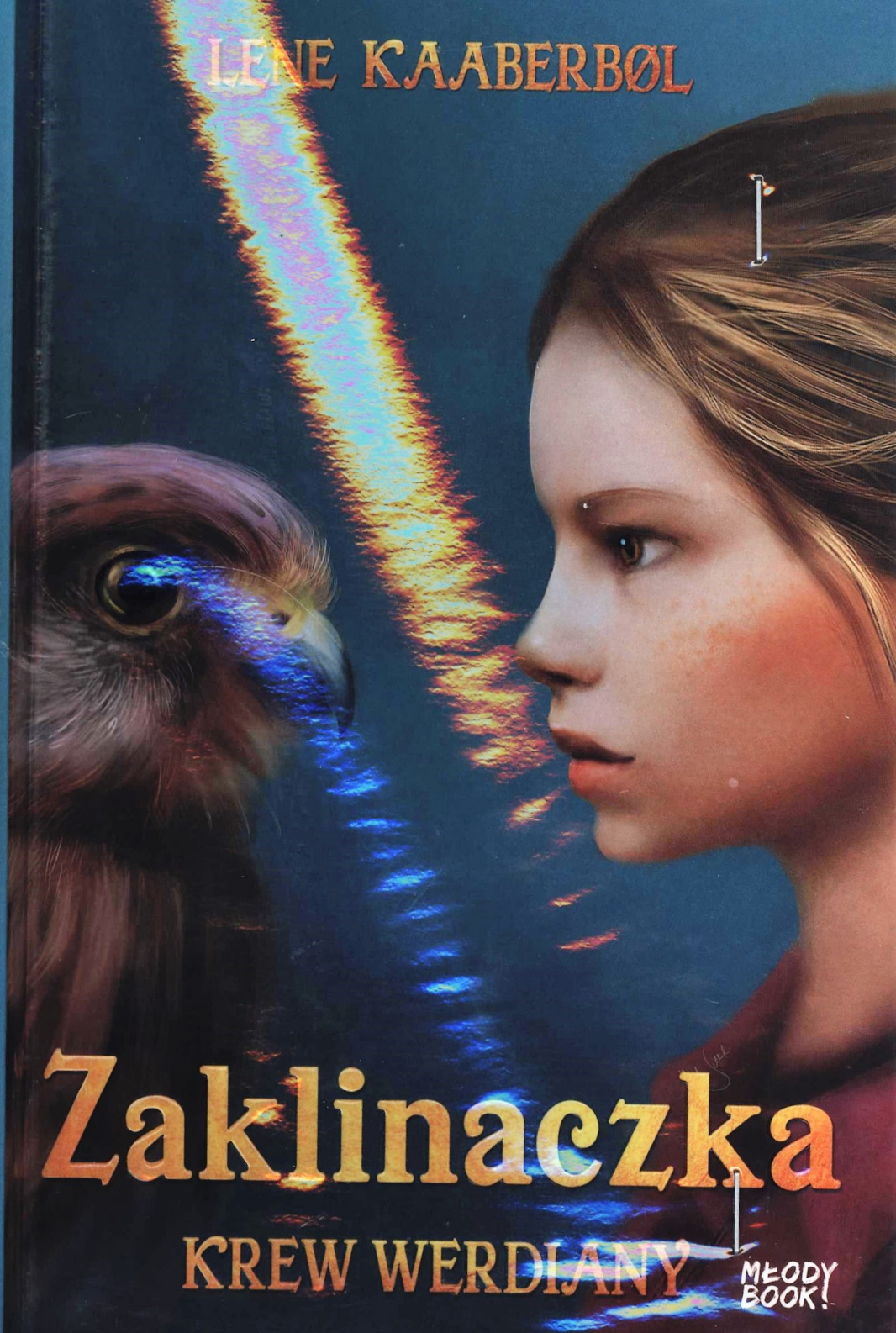
M000010750

LENE KAABERBØL

Zaklinaczka
KREW WERDIANY

MLODY
BOOK!

LENE KAABERBØL





Dzikie psy

Szum morza był pierwszym dźwiękiem, jaki przerwał zimną ciszę zakłętych ścieżek. Cichy plusk fal i skrzek samotnej mewy – jeden przeciągły i cztery krótkie *uuuurr – urrr urrr urr urrr*. Potem coś trzasnęło mi pod stopami – lodowa skorupa pokrywająca piasek pękała, kiedy na niej stawałam. Po prawej stronie nad krajobrazem górowało ciemne, skaliste zbocze, a u jego stóp, z cienkiej warstwy lodu wyrastał żółto-szary las pokrytego szronem sitowia. Od lewej dobiegał mnie zaś szept fal, które powoli wpelzały na plażę pod cienką warstwą lodowej, jakby oleistej powłoki.

Byłam na miejscu. Wszystko wyglądało jak na zdjęciu Shanai i choć z miejsca, w którym stałam, nie widać było domu, musiał się kryć gdzieś przede mną, kawałek dalej, w górę plaży.

Kot przyprowadził mnie tu zakłętymi ścieżkami, dbając, by nie zostawiać mnie w tyle na więcej niż metr, góra dwa. Teraz już nie było go widać, ale mimo wszystko czułam, że jest tuż obok.

Byłam na miejscu. Naprawdę tu byłam. Stałam na plaży Vestmarku, choć nie wierzyłam, że kiedykolwiek się na to odważę. Wciąż w to nie wierzyłam. I z całą pewnością nie

wyobrażałam sobie, że mogłabym w jakikolwiek sposób przeciwstawić się Chimrze. Nie czułam się ani trochę silniejsza czy odważniejsza niż wcześniej. Ale myśl, że miałabym wrócić do mieszkania przy Merkurego i patrzeć obojętnie, jak policja i mama Oscara kręcą się w kółko i nie mogą go znaleźć, bo szukają w niewłaściwym miejscu... Coś takiego byłoby po prostu nie do zniesienia. Bardziej nawet od stania tu całkiem samej – może poza Kotem – i czekania, aż Chimera mnie dostrzeże.

Nie miałam żadnego sprytnego planu. Mogłabym oczywiście spróbować niepostrzeżenie zakraść się bliżej domu, ale skoro zniewolonym zwierzętom niespełna godzinę zajęło pojmanie Shanai, ze mną pewnie pójdzie im znacznie szybciej. Ona się tu urodziła i wychowała, i choć była jeszcze młoda, przeszła już w pełni szkolenie zaklinaczki. Ja zaś mogłam tylko uchwycić się wątlej nadziei, że Shanaia ma rację i zakłęte przez Chimrę zwierzęta z jakiegoś powodu nic mi nie zrobią.

Zamarznięta piaszczysta połać plaży nagle wydała mi się otwarta i całkiem odsłonięta. Przestrzeń wypełniały niebo i morze, lód i piasek, i nigdzie w promieniu kilometra nie było żadnego krzaka ani drzewa. Jediną potencjalną kryjówkę stanowiła dżungla żółtych, szemrzących łodyg trzciny morskiej. Lód był jednak zbyt cienki, by utrzymać moją wagę, a poza tym w gęstych zaroślach łatwo mogłabym zgubić kierunek.

Szłam więc plażą, lecz trzymając się blisko sitowia. Nie wiedziałam, czy to cokolwiek zmienia. Mewy pewnie i tak mnie zobaczą, bez względu na to, gdzie się skieruję. I czy Shanaia nie mówiła też o jakichś dzikich psach?

Ledwie zdążyłam dokończyć tę myśl, gdy usłyszałam głośne, piskliwe ujadanie. Dobiegało skądś po drugiej stronie sitowia – tak w każdym razie mi się wydawało. Odruchowo stanęłam i w panice próbowałam oszacować swoje szanse. Ale co właściwie mogłam zrobić innego niż iść dalej? Biec? Te stworzenia pewnie potrafią biegać dwa razy szybciej niż ja. *Precz*, szepnęłam w myślach. *Precz, precz, precz.*

Coś zaszeleściło w zaroślach. I nagle zdałam sobie sprawę, że jednak biegnę, choć przecież zdecydowałam, że to bez sensu. Trudno się biegło w ciężkich, sztywnych gumiakach i zdecydowanie nie pomagało, że wszystko było pokryte lodem, który albo był śliski, albo pode mną pękał, więc bez przerwy się potykałam.

Łip-łip, łip-łip. Dziwne, piskliwe szczekanie rozlegało się coraz częściej i coraz bliżej. I nie tylko za mną, ale też po mojej prawej, w głębi sitowia. *Otoczyły mnie, nie mogłam się od nich uwolnić.* Przypomniałam sobie opowieść Shanai i ze zgrozą pojęłam, że to samo właśnie przytrafia się mnie. Zrobiłam ostry zwrot w lewo, w stronę piaszczystej plaży, gdzie łatwiej było biec. I co z tego, że teraz byłam dla nich bardziej widoczna – one dla mnie również.

Mroźne powietrze drapało w płuca. Nie byłam z wufu może najgorsza w klasie, ale zdecydowanie nie byłam też najlepsza. Coroczny szkolny bieg przełajowy zawsze stanowił dla mnie nie lada wyzwanie. Pomyślałam sobie więc, że jeśli uda mi się wyjść z tego cało, to odtąd zacznę biegać codziennie i będę się zdrowo odżywiać. Obiecuję! Gumiaki ocierały mi się o łydki, uda były ciężkie, zimne i zeszywniałe.

Łip-łip-łip!

Tym razem szczekanie dochodziło z zarośli znajdujących się *na wprost mnie* i w jednej chwili z gąszczu na plażę wybiegło pięć przypominających lisy stworzeń.

Stanęłam. Powietrze ze świstem dobywało się z mojej piersi. Spocona koszulka pod bluzą i puchówką kleiły mi się do pach i pleców. Nie były to duże zwierzęta, co było w jakimś stopniu krzepiące. Właściwie mniejsze niż lisy. Żółto-brązowe z ciemnymi plamami na bokach, ciemnymi obwódkami wokół szpiczastych uszu i ciemnymi maskami na oczach. Wyglądały niemal słodko. Przez moment poczułam się głupio, że tak się ich przestraszyłam i próbowałam przed nimi uciekać. Potem jednak dostrzegłam czerwony błysk w ich oczach. Nie były one krwistoczerwone jak oczy tamtych ptaków, ale mimo wszystko w mroku wyraźnie widać było ich ognistą czerwień.

Okazało się, że ta piątka stanowiła jedynie forpocztę. Zza moich pleców i ze strony sitowia po mojej prawej na plażę wybiegło co najmniej dwadzieścia dzikich psów. Wszystkie miały spuszczone głowy i dziwnie sztywne nogi. Szły powoli, krok za krokiem. Nie było powodu do pośpiechu. Teraz nigdzie im nie ucieknę. Otoczyły mnie równie łatwo jak Shanaię.

– Kocie – szepnęłam. – Kocie, jesteś tutaj? Pomóż mi, proszę!

Wspomnij.

To wszystko. Ot, cała pomoc, jaką od niego dostałam.

Psy przysuwały się bliżej – zarówno do mnie, jak i do siebie nawzajem – aż utworzyły krąg, zamykając mnie w nim. Jeden z nich wydał z siebie ostanie ostre „Łip!”. Była to stara samica z grzywą przyprószoną siwizną i naderwanym uchem. Na ten sygnał wszystkie rzuciły się do przodu.

Ta z naderwanym uchem uderzyła we mnie niczym furtzana kula armatnia, trafiając tuż poniżej mostka. Na łydce, ramieniu, na gumiaku zacisnęły się zęby pozostałych. Krzyczałam przerażona, machałam rękami, żeby je odpędzić, rozpaczliwie próbowałam utrzymać się na nogach, ale one szarpały mnie za spodnie, rękawy, gumiaki, popychały i tarmosiły na wszystkie strony, aż osunęłam się na kolana, a chwilę później trzy albo cztery rzuciły mi się na plecy i upadłam na twarz powalona kłębowskiem zaślinionych pysków, żółtobrazowych ciał i szerokich łap o mocnych poślódkich pazurach.

„**PRECZ!**”, w ustach miałam piach, z trudem łapałam oddech. Staralam się wypluć ziarnka, krzycząc jednocześnie z całych sił **PRECZ** – zarówno na głos, jak i w głowie. Ale psy nie dawały się spłoszyć.

Ze zgrozą pomyślałam, że uwolnię się od nich, dopiero kiedy rozszarpią mnie na kawałki. Wkrótce zostanie ze mnie stos nadgryzionych kości i kałuża krwi na zamrożonym piasku.

I właśnie wtedy, w tej chwili rozpacz, uświadomiłam sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze – psy nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Nie słyszałam warczenia ani pomrukiwania. Po drugie – jak dotąd żaden nie ugryzł mnie naprawdę, szarpały tylko moje ubranie. Więc jednak nie zamierzały mnie zjeść. Chciały mnie tylko powalić i unieruchomić. Leżałam teraz po części na plecach, po części na boku, a na mnie siedziała samica z poszarpanym uchem. W pewnym momencie opuściła tylną część ciała i nasikała mi na nogę. Potem gwałtownie i trochę przerażając co poderwała głowę do góry, by po chwili objąć straszliwym

pyskiem moją szyję, na tyle mocno, żebym mogła się przekonać, jak ostre ma kły.

Przestałam krzyczeć. Leżałam całkiem nieruchomo. Ciepły psi mocz przesiąkał przez puchowe spodnie i legginsy pod spodem, aż poczułam wilgoć na skórze. Zamknęłam oczy. Przywódczyni stada wciąż przyciskała mi do gardła ostre jak noże zęby i wydawało mi się, że trwa to wieczność, choć możliwe, że w rzeczywistości były to sekundy albo minuty – naprawdę nie wiem.

Kocie, pomyślałam, miałeś mnie strzec, prawda? Dlaczego pozwalasz im to robić?

Ale najgorsze nie było wcale to, że leżałam na lodowatym piasku z psimi sikami na nodze i kompletem psich kłów na gardle. To był dopiero początek. Bo w końcu z wolna dotarło do mnie, dlaczego mnie nie pogryzły i dlaczego tylko mnie przytrzymały. Tak samo przecież było z Shanią. *Otoczyły mnie i nie mogłam się od nich uwolnić.* Jej też nie zabiły. Przytrzymały ją tylko i czekały – dokładnie tak jak teraz.

Czekały na Chimere.